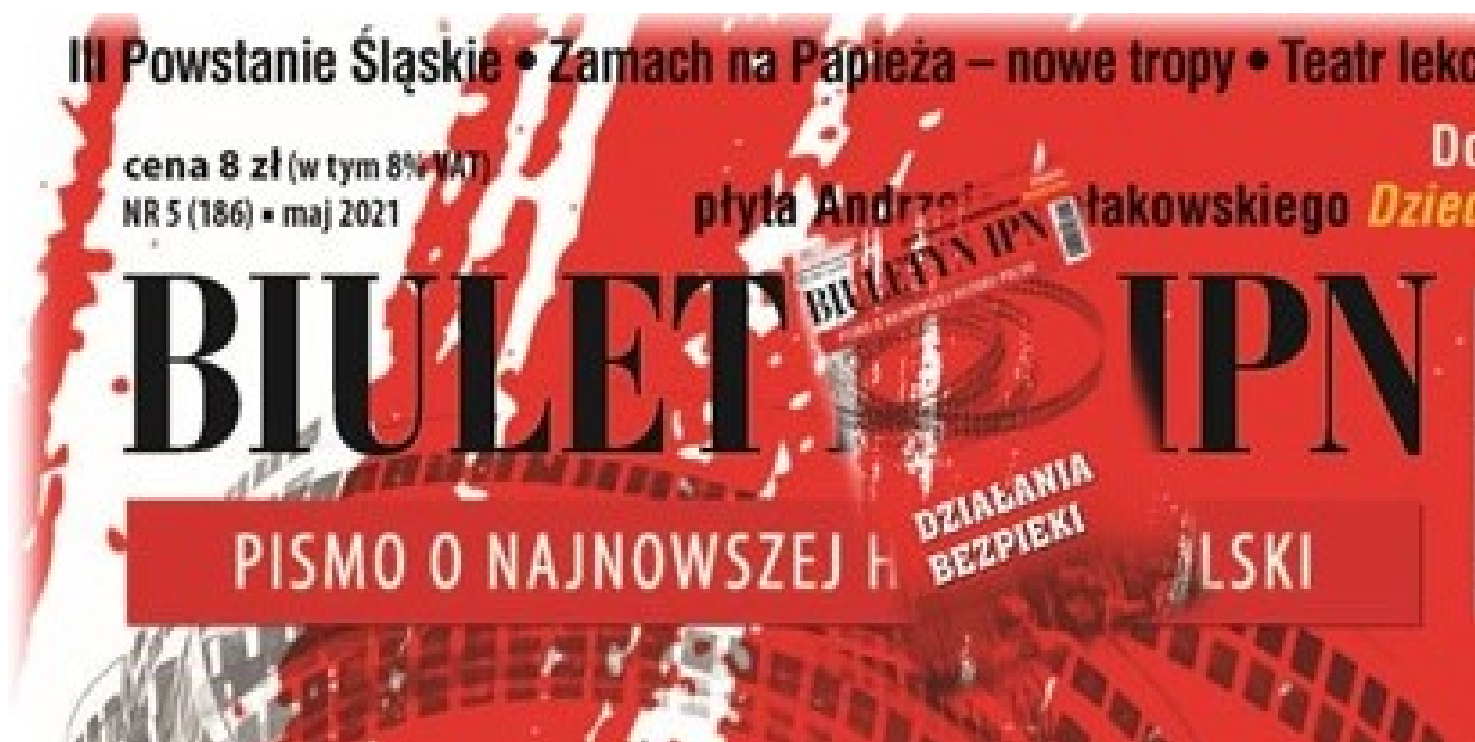


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/aparat-bezpieczenstwa/87008,Sluzba-Bezpieczenstwa-a-sumienie-kaplanskie.html>



ARTYKUŁ

Służba Bezpieczeństwa a sumienie kapłańskie

OKRES HISTORYCZNY

(1956-1970) Od Października do Grudnia (1970-1980) Od Gdańska do Gdańska (1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: ADAM DZIUROK 18.10.2021

Po roku 1956 SB stosowała wobec duchownych wyrafinowane formy werbunku. Najskuteczniejszą obroną przed nagabywaniem przez bezpiekę okazywała się wierność powołaniu kapłańskiemu.

„Służba konfidenta nie zgadza się z charakterem i posłannictwem kapłaństwa” – tę oczywistą prawdę przypominał już w 1947 r. bp Juliusz Bieniek w okólniku do duchowieństwa diecezji katowickiej. Rok później protestował przeciwko nakłanianiu jednego z księży do współpracy z UB, co skończyło się tym, że kapłan, nie potrafiąc „roli konfidenta pogodzić z kapłańskim sumieniem”, uciekł z kraju.

Zmiana metod pracy aparatu bezpieczeństwa po 1956 r. wpłynęła na postępowanie wobec duchownych Kościoła katolickiego – nie zrezygnowano z werbunków (czy raczej, jak wówczas nazywano tę czynność, pozyskiwania do współpracy z SB), ale stosowano bardziej wyrafinowane metody perswazji.

Posługa kapłańska a usługa konfidencka

Zmiana metod pracy aparatu bezpieczeństwa po 1956 r. wpłynęła na postępowanie wobec duchownych Kościoła katolickiego – nie zrezygnowano z werbunków (czy raczej, jak wówczas nazywano tę czynność – pozyskiwania do współpracy z SB), ale stosowano bardziej wyrafinowane metody perswazji. Artykułowanie propozycji służby donosicielskiej odbywało się w sposób zawaolowany, przypominający bardziej kuszenie w raju, i było raczej procesem łamania sumienia (a nie łamania kości, jak w okresie stalinowskim). Starano się uwzględnić specyfikę środowiska kościelnego, którego wrogość – lub co najmniej sceptycyzm – wobec porządku komunistycznego wynikała nie tylko z przesłanek politycznych, lecz także z powodów religijnych. Kategoria grzechu w odniesieniu do świadczenia usług konfidenta była perspektywą, która musiała zostać uwzględniona w nowych metodach pozyskiwania tajnych współpracowników wśród duchowieństwa diecezjalnego, zakonnego, sióstr zakonnych, jak również katolików świeckich.

Kandydatami na tajnych współpracowników były osoby nie tylko uformowane religijnie, często po studiach teologicznych, związane różnymi więzami z instytucjami i ludźmi Kościoła, lecz również wrażliwe na problemy moralne. Działania zmierzające do „uśpienia sumienia” i zarazem czujności polegały na przekonaniu

kandydata, że jego współpraca z SB nie narusza „jego godności osobistej, zasad moralnych i sumienia”, a zarazem nie tylko nie szkodzi Kościołowi, lecz może być pomocna w normalizacji stosunków kościelno-państwowych, gdyż doprowadzi do usunięcia przeszkód w poprawnym uregulowaniu tych relacji. Funkcjonariusze SB pracowali więc nad formowaniem tzw. sumienia szerokiego, czyli przesunięciem granicy między dobrem a złem w taki sposób, żeby można było uznać za dopuszczalne to, co obiektywnie jest złe i grzeszne (po pozyskaniu TW zwracano uwagę na konieczność jego „szkolenia i wychowania”, czyli faktycznie dalszej demoralizacji). Służyło temu przenoszenie punktu ciężkości z płaszczyzny religijno-moralnej na problemy praktyczne, osobiste czy neutralne. Nie podnoszono kwestii fundamentalnych różnic światopoglądowych, lecz starano się traktować rozmówcę jako obywatela współodpowiedzialnego za losy Ojczyzny. Podczas pierwszej rozmowy dążono np. do tego, by kandydat na współpracownika opowiadał o sobie, o nurtujących go problemach i zauważonych nieprawidłowościach. Choć przewidywano, że takie rozgrywki psychologiczne mogą potrwać długo, to nie rezygnowano jednocześnie z szybkich pozyskań okazjonalnych.

Pięciominutowa walka sumienia

Taką sytuację można przedstawić na przykładzie kapłana, który przypadkowo trafił w sidła SB. Nocą 22 lipca 1960 r. pełniący dyżur oficer operacyjny Wydziału III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej otrzymał informację z Komendy Dzielnicowej Katowice-Załęże o zatrzymaniu w Hotelu Śląskim niezameldowanej kobiety, która przebywała w pokoju wspólnie z księdzem. Błaha z pozoru wiadomość o naruszeniu przepisów meldunkowych stanowiła cenną informację z powodu zamieszania w całą sprawę duchownego. Kwestia drobnego wykroczenia została wykorzystana w celach operacyjnych, stąd powiadomienie Wydziału III – pionu odpowiedzialnego wówczas za rozpracowywanie ludzi i struktur Kościoła katolickiego. Gdy funkcjonariusz MO wkroczył do pokoju księdza, zastał tam kobietę ubierającą się pospiesznie i bardzo zdenerwowaną. Duchowny prosił mundurowego, by ten nikomu nie mówił o całej sytuacji, „to on się jemu za to wynagrodzi”. Milicjant odprowadził jednak kobietę do aresztu, a do akcji (o 1.55 w nocy) wkroczył funkcjonariusz pionu III. Ksiądz tłumaczył mu, że przypadkowo spotkał swoją znajomą, którą, po wspólnej zabawie w restauracji, zaprosił do pokoju hotelowego. Zdając sobie sprawę z całej sytuacji, powiedział, że

„popęłnił duży grzech i bardzo się skompromitował, gdyż każdemu jest wiadomo, po co przychodzi kobieta w nocy sama do mężczyzny”.

Funkcjonariusz nie pomógł mu uspokoić sumienia i skierował rozmowę na temat moralności głoszonej przez kapłanów katolickich. Duchowny wyraził obawę, że może być przez władze kościelne ukarany administracyjnie, i podkreślił, że bardzo mu zależy na tym, by o sprawie nie dowiedziała się krakowska kuria, gdyż „mogli go pozbawić całkowitej suspensy [sic!]” lub przenieść do małej miejscowości (nazwał ją

„pipidówką”), gdzie „miałby z głodu konać”. Coraz bardziej zdenerwowany, przekonywał, że cieszy się bardzo dużym zaufaniem kurii i „dopiero (!) pierwszy raz tak się skompromitował”. W pewnym momencie poprosił funkcjonariusza o okazanie legitymacji służbowej, „gdyż chciałby wiedzieć, z kim rozmawia”.

Tu dochodzimy do kluczowego momentu całego spotkania, który tak opisał oficer operacyjny Wydziału III:

„Po okazaniu legitymacji służbowej ksiądz [...], jak tylko przeczytał, że jestem ze Służby Bezpieczeństwa – siadł sobie na łóżko, około pięć minut wcale nie chciał rozmawiać”,

a następnie oświadczył, że

„teraz sobie zdaje sprawę i już wie wszystko, czego będę od niego żądał”.

Ta długa chwila milczenia wydaje się symbolicznym obrazem wewnętrznej walki człowieka, który miał świadomość, że wpadł w sidła zła i sprzeniewierza się dotychczasowemu systemowi wartości.

Reakcja kapłana pokazuje też, że wśród duchowieństwa była świadomość metod i celów pracy aparatu bezpieczeństwa. Pogodzony z klęską ksiądz stwierdził, że jest zmuszony zgodzić się na wszystkie warunki, gdyż boi się kompromitacji. Kluczowy w jego sposobie myślenia miał być strach przed nagłośnieniem sprawy przez media –

„bo to by mogło jego matkę zabić, jakby usłyszała w radio lub przeczytała w gazecie, czego dopuścił się jej syn w Katowicach”.

Sytuacja dla obu stron wydawała się tak klarowna, że funkcjonariusz od razu postanowił wysondować, czy ksiądz nie zgodzi się na współpracę z SB i jakie posiadałby możliwości jako TW. Sprawa została załatwiona niemal od ręki – ksiądz oświadczył, że „jest zmuszony” (!) do współpracy i zgodzi się na takie kontakty, z zastrzeżeniem, że nie podpisze żadnego zobowiązania, a informacje z wykonanych zadań będzie przekazywał ustnie. Po tym oświadczeniu ksiądz miał drugi moment refleksji moralnej – siadł powtórnie na łóżku i przez

„dłuższy okres wcale nie mówił, po kilku minutach wstał i bardzo niewyraźnie powiedział, że pragnie jak najprędzej zakończyć [...] rozmowę”.

Omówiono jeszcze sposoby kontaktowania się i kwestie zachowania jej treści w tajemnicy. Ksiądz zauważył, że to „jemu więcej zależy na opinii niż nam”, i prosił, by komunikował się z nim tylko dotychczasowy rozmówca. Przeszło dwugodzinne spotkanie w hotelu zakończyło się o 4.10 nad ranem.

Nie znamy niestety dalszej części tej historii, a sytuacja jest tym bardziej interesująca, że w aktach brakuje śladów potwierdzających nawiązanie współpracy z SB przez tego kapłana. Jest za to informacja, że w latach 1987-1989 był kandydatem na tajnego współpracownika. Czy możliwe więc, że „epizod hotelowy” został przez księdza przepracowany moralnie i duchowny ujawnił swoje czyny przed przełożonymi, przez co stał się dla SB bezużyteczny?

[Od redakcji: O metodologii werbunku służb PRL, cz. 1]

Działania zmierzające do „uśpienia sumienia” i zarazem czujności polegały na przekonaniu kandydata, że jego współpraca z SB nie narusza „jego godności osobistej, zasad moralnych i sumienia”, a zarazem nie tylko nie szkodzi Kościołowi, lecz może być pomocna w normalizacji stosunków kościelno-państwowych.

„Pomożecie?”

Przedstawiony przypadek jest przykładem zastosowania metody werbunku jednorazowego, tzn. takiego, gdy zgodę na współpracę uzyskiwano podczas jednego spotkania. Od początku lat sześćdziesiątych najczęściej stosowanym sposobem pozyskiwania duchownych do współpracy z SB był werbunek stopniowy, polegający na powolnym oswajaniu i przełamywaniu oporów. Zaplanowanie pozyskania w perspektywie kilku, a nawet kilkunastu spotkań pozwalało na systematyczne „przewartościowywanie przekonań kandydata”, wzbudzenie

jego zaufania i sympatii.

Funkcjonariusze SB mieli zresztą do dyspozycji różne materiały szkoleniowe dotyczące werbunku duchownych. W 1962 r. instruktaż prowadzono m.in. na podstawie sprawy o kryptonimie „Robak”, która dotyczyła pozyskania zakonnika. Sprawę należało omawiać podczas czterech godzin lekcyjnych, podkreślając znaczenie stopniowego werbunku. Przedstawiano więc przebieg pierwszej rozmowy z kandydatem przeprowadzonej w związku z niedopełnieniem formalności meldunkowych. Przebiegała ona w miłej atmosferze, „bez żadnych uszczypliwości”, z komplementami wobec zakonnika

(„mało jest tak miłych i kulturalnych ludzi wśród ojców, z którymi pracownik milicji mógłby znaleźć jakiś wspólny język i swobodnie zamienić kilka zdań”).

Delikatnie perswadowano wspólnotę celów państwa i Kościoła

(„nasz ustrój [...] stara się o to, by człowieka spotkała sprawiedliwość za życia. Wy obiecujecie sprawiedliwość po śmierci”),

sugerując możliwość bezkolizyjnej koegzystencji

(„Dlaczego więc mielibyśmy sobie wzajemnie przeszkadzać?”).

Kandydat połknął haczyk i nie tylko wdał się w dyskusję na temat możliwości popierania rządu przez duchowieństwo, lecz zaczął „podawać ciekawostki z życia zakonu”. W tym momencie chyba się zorientował, że wkracza na grząski grunt, więc – w celu uspokojenia własnego sumienia – zastrzegł, by jego wywodów nie traktować

„jako swego rodzaju donosu, gdyż o kapusiach ma on urobiony krytyczny sąd”.

Po tym samorozgrzeszeniu zakonnik jeszcze zawahał się przy odpowiedzi na propozycję kolejnego spotkania, ale funkcjonariusz SB dał mu do zrozumienia, że wie o jego eskapadach w stroju cywilnym. To ostatecznie przekonało duchownego do wyrażenia zgody na dalsze kontakty, które wkrótce przyjęły formę tajnej współpracy (podpisanie zobowiązania do zachowania jej faktu w tajemnicy, pseudonim, wynagrodzenie).

Większość prób werbunków księży kończyła się niepowodzeniem, a osoby uwikłane we współpracę z aparatem bezpieczeństwa miały czasami odwagę zejść z tej drogi. Warto zwrócić uwagę na postawę hierarchii kościelnej, która mogła wzmacniać „sumienia kapłańskie” w sytuacji „kuszenia” przez SB lub prób wyplątania się z kontaktów z bezpieczeńką.

Biskup - „anioł stróż”

Skuteczność SB w pozyskiwaniu TW w środowisku duchowieństwa była ograniczona. Większość prób werbunków księży kończyła się niepowodzeniem, a osoby uwikłane we współpracę z aparatem bezpieczeństwa miały czasami odwagę zejść z tej drogi. Warto zwrócić uwagę na postawę hierarchii kościelnej, która mogła wzmacniać „sumienia kapłańskie” w sytuacji „kuszenia” przez SB lub prób wyplątania się z kontaktów z bezpieczeńką.

Tak było np. w diecezji katowickiej pod koniec 1956 r., kiedy biskupi wracający z wygnania odsunęli na boczny tor księży promowanych dotąd przez władze (w tej grupie było sporo agentów) i nawoływali do pokuty tych, którzy donosili o sprawach Kościoła „instytucjom świeckim”. Jednoznaczna postawa hierarchów spowodowała, że do sierpnia 1957 r. sześciu kapłanów odmówiło dalszej współpracy, a SB nie powiodły się werbunki czterech innych duchownych. Jeden obawiał się reakcji przełożonych w przypadku, gdyby dowiedzieli się o tego typu kontaktach, drugi odmówił, twierdząc, że

„jego sumienie kapłańskie nie pozwala mu na tego rodzaju współpracę”,

a kolejny wskazywał na los kapłanów, których za działalność konfidencką przełożeni ukarali zesłaniem do klasztoru na pokutę. Można uznać, że obawa przed reakcją i sankcjami władz kościelnych, nawet jeśli nie była rzeczywistym powodem decyzji o odmowie kontaktów z SB, stanowiła skuteczny parawan chroniący przed nagabywaniem przez funkcjonariuszy MSW.

Jeden z duchownych, którzy odrzucili propozycję zostania konfidentem jako niezgodną z ich „sumieniem kapłańskim”, dodał, że jako

„ksiądz katolicki dobrowolnie przysięgał posłuszeństwo swemu biskupowi i bez jego wiedzy do niczego ręki nie przyłoży”.

W przypadku wikarego z diecezji wrocławskiej rolę „anioła stróża” chroniącego przed SB odegrał proboszcz. Wikary dał się wciągnąć w nieformalne kontakty i rozmowy z funkcjonariuszem bezpieczeństwa, który przekonywał go, że w obecnej sytuacji dialog prowadzi całe społeczeństwo, „zarówno Glemp-Jaruzelski, jak i my tu na dole”. Po roku od zarejestrowania wikarego jako TW ten nagle odciął się od współpracy z SB, stwierdzając, że nie może już utrzymywać takich kontaktów, gdyż rzutuje to na jego „dalsze prace i awanse”. O spotkaniach z bezpieczeństwem opowiedział swojemu proboszczowi, który nakazał mu zgłaszać każdą wizytę funkcjonariusza i treść rozmowy. Dodatkowo wikary przyznał, że zgodził się na współpracę z obawy przed trudnościami w wyjazdach zagranicznych, ale obecnie „jego obawa przed Bogiem i swymi władzami” jest większa, tym bardziej że proboszcz uświadomił go, że teraz nie powinien mieć problemu z otrzymaniem paszportu. Ze względu na odmowę współpracy oraz dekonspirację kontaktów z SB sprawę szybko zamknięto, a „nawrócony” wikary wyzwolił się z niewygodnych więzów.

Odmowa, zerwanie, dekonspiracja

Decyzje o zerwaniu relacji z organami bezpieczeństwa wynikały z różnych przesłanek – czasem ze względów praktycznych, a nie z pobudek moralnych. Na przykład jeden z księży z diecezji wrocławskiej podjął rozmowy z funkcjonariuszem SB, licząc na uzyskanie paszportu i możliwość wyjazdów zagranicznych. Współpraca okazała się dość trudna, gdyż TW prezentował

„zdecydowaną niechęć do konfidencjonalnych form kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa”.

Co więcej, „trzykrotnie zdecydowanie odmówił współpracy”, co wiązało się z tym, że motyw pozyskania, czyli umożliwienie wyjazdów zagranicznych, stracił na znaczeniu w okresie ograniczeń stanu wojennego.

Służba Bezpieczeństwa co roku odnotowywała przypadki „wymykania się” z sieci TW. Na przykład w 1978 r. w całym kraju z sieci antykościelnego pionu IV wyeliminowano 59 TW z powodu odmowy lub niechęci do współpracy, jednego za nieszczerłość, kolejnego za dezinformację (dwulicowość), pięciu ze względu na dekonspirację. Dodać jednak należy, że w tym czasie wydziały IV i Departament IV MSW pozyskały ponad 829 nowych TW w całym pionie antykościelnym (a więc nie tylko spośród duchowieństwa).

Obraz ten należy jeszcze uzupełnić o liczne przypadki niepowodzeń przy próbach nawiązania dialogu operacyjnego z powodu kategorycznego odmawiania prowadzenia rozmów z funkcjonariuszami SB. Cały arsenał środków i wyrafinowana metodologia pozyskań okazywały się bezużyteczne wobec kapłanów, którzy autentycznie żyli według zasad wiary i zachowywali wierność Kościołowi. Wiele przykładów wskazuje, że można było wyjść zwycięsko z próby kuszenia, zwodzenia i łamania sumień. W sytuacji zdiagnozowania „fanatyzmu religijnego” (który należy rozumieć jako postawę gorliwej wiary) bezpieka rezygnowała nawet z wszelkich prób pozyskania duchownego już na etapie typowania kandydata na TW.

[Od redakcji: O metodologii werbunku służb PRL, cz. 2]

Tekst pochodzi z numeru 5/2021 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ